

Nadia

**SZAGDAJ**

Grzegorz

**FILAROWSKI**

**ЯЯЯ**

Psy szczekają, karawana jedzie dalej

**NADIA SZAGDAJ  
GRZEGORZ FILAROWSKI**

# **YAK**

TOM 1

Psy szczekają, karawana jedzie dalej



Tytuł: Rak. Tom 1. Psy szczekają, karawana jedzie dalej

Redaktor prowadzący: Sławomir Jarząb

Redaktor: Jacek Gutowski

Korekta: Kalina Jankowska, Sławomir Jarząb

Projekt okładki: Grzegorz Filarowski

Skład i łamanie: Studio StrefaDTP

Copyright © by Nadia Szagdaj & Grzegorz Filarowski, 2023

Copyright © by Lingua Mortis, 2023

Copyright © by cover illustration by Grzegorz Filarowski, 2023

Wszelkie prawa do polskiego wydania zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Cytat na str. 7: Sting – „Every breath you take”,  
tłumaczenie: autorzy.

Wydanie I  
Stępin 2023

ISBN: 978-83-962803-0-5

Wydawnictwo Lingua Mortis  
Stępin 33M, 55-093 Stępin  
e-mail: redakcja@LinguaMortis.pl

## SPIS TREŚCI

OD AUTORÓW .....	9
DETEKTYW .....	13
STALKER .....	21
MUZYK .....	29
FUTRO .....	39
ŚRUBA .....	55
FRANCUZ .....	73
NARKOMAN .....	93
AZYL .....	111
AMATORZY .....	127
SZLAFROK .....	141
SIERP .....	157
OBRAZ .....	175
BRUNET .....	193
GROTA .....	219
DUSZA .....	241
PROCH .....	269
KOC .....	287
BANDAŻ .....	309
ŚWIECA .....	321
ELEGANT .....	331
MALEDIWY .....	345
NOWOTWÓR .....	363
MECZ .....	379
DIABEŁ .....	391
TEATR .....	401
TINDER .....	417
WARIAT .....	429
HIBIKI .....	447
GRZYB .....	465

Powieść inspirowana prawdziwymi wydarzeniami.

Mimo że powieść oparta jest na wydarzeniach,  
które działy się naprawdę, wszelkie podobieństwo osób,  
imion, nazwisk czy sytuacji jest przypadkowe.

*Każdy oddech, który weźmiesz,  
i każdy twój ruch, każdy krok, który przejdiesz,  
każdy związek, który zerwiesz,  
będę obserwować...*

*Sting*

## OD AUTORÓW

Jako nastolatek marzyłem o napisaniu książki. Jeszcze kilka lat temu zastanawiałem się, czy temat, który planowałem zrealizować jako pierwsze dzieło, będzie interesujący. Nie zdradzę go jeszcze, bo może przyjdzie dzień, w którym uda mi się go popełnić.

Nazywam się Grzegorz Filarowski, mam 43 lata, dwie cudowne córki, jestem przedsiębiorcą i ogromnym fanem postaci Batmana. Historia człowieka, który wdarł się w moje życie i wywrócił je do góry nogami, spowodowała, że w dosłownym i metaforycznym znaczeniu przywdziałem pelerynę. Sam musiałem sobie poradzić w niedoskonałym świecie, który, jak już wielu wie, daje zwyrodnialcom fory i przewagę nad uczciwymi ludźmi. Sam musiałem walczyć o sprawiedliwość i szukać osób, które będą chciały mi pomóc. W konsekwencji tych poszukiwań poznałem m.in. wspomniałą Nadię Szagdaj, dzięki której wspólnie napisaliśmy tę książkę. Ja, amator pisarstwa, i profesjonalna pisarka. Dobrze się dobraliśmy i udało nam się wypracować taki mechanizm twórczy, aby stworzyć dzieło, płynące z głębi serca i w pełni oddające emocje ludzi dotkniętych niesamowitą tragedią.

Nie jestem naiwnym człowiekiem i wiem, że takich oszustów zawsze było i będzie wielu, ale nie chcę stać w miejscu i biernie przyglądać się, jak ten „rak” wyniszcza ludzi. Uważam, że temat oszustów, którzy wykorzystują słabości ludzi, a przy tym liczne problemy systemu prawa w Polsce, powoduje, że tak wiele osób przechodzi przez piekło. Ignorując takie zachowania, często „karmimy tego raka” i pozwalamy mu się rozwijać.

Ta książka to także zakończenie pewnego rozdziału w moim życiu. Bardzo dziękuję swoim najbliższym, którzy nie tylko dopingowali mnie w samym procesie „pościgu” za oszustem, ale zwyczajnie byli obok mnie. JJ, Maciej dziękuję Wam przede wszystkim. Dziękuję także policjantowi, który, jako jeden z nielicznych znanych mi ludzi o tej profesji, okazał się człowiekiem z kręgosłupem moralnym i misją. Nie zasłaniał się statystykami i tonami innych spraw, tylko jak prawdziwy „pies” zaczął węszyć, aby znaleźć trop i dopaść sprawcę. Dziękuję także kobietom, które pomimo trudności otworzyły się i zechciały rozmawiać. Dziękuję także mojemu zespołowi w firmie, który stanął na wysokości zadania i opiekował się należycie moimi biznesami, kiedy sam byłem głową w zupełnie innym świecie. Dziękuję także mediom, które pomogły mi sprawę nagłośnić.

*Grzegorz*

„Rak” jest moją dwunastą powieścią. Na samym początku chciałam tę propozycję... odrzucić! Nazywam się Nadia Szagda i jestem pisarką. Napisałam w swoim życiu wiele. Żyję z pisania, także jako dziennikarka. Dla mnie słowo pisane to misja. Można nim dojsć sprawiedliwości, ale i skrzywdzić. Słowem można promować i tłamsić. To ono buduje i niszczy życia, szczególnie gdy ukazuje się w wielu egzemplarzach, jak książka czy gazeta. I sędzę, że do napisania powieści, którą trzymacie Państwo w dłoniach, zainspirowała mnie właśnie misja Grzegorza Filarskiego, który przeżył w życiu coś złego. Odkrył później, że jest tylko jedną z ofiar osoby, która literalnie terroryzuje ludzi. W moich powieściach zawsze wyznaczam sobie moralny azymut. Problem, który wraz z Grzegorzem poruszamy w książce – problem palący, zawarty w wydarzeniach, które miały i nadal mają miejsce – okazał się naszym wspólnym azymutem. Chcemy Państwu coś powiedzieć. I mówimy to bardzo serio. Jest w Polsce grupa ludzi, których sposób istnienia i współistnienia z innymi przypomina nowotwór. Karmią się cudzym szczęściem, potem też nieszczęściem, powoli zabijając ofiary. Nawet jeśli te przeżyją, nie są już tymi samymi osobami, co przed „chorobą”. Oprawcy nie ponoszą zaś konsekwencji, ze względu na kulturowe i społeczne przyzwolenie na podobne zachowanie. O tym właśnie jest „Rak”. Liczę, że tą lekturą uda mi się zwrócić Państwa uwagę na wspomniany przeze mnie palący problem i z szerszej perspektywy spojrzycie Państwo na temat przemocy w Polsce.



Dziękuję Grzegorzowi za propozycję współpracy. Jestem z nas dumna, bo dwie gwiazdy w jednym miejscu to niekoniecznie już niebo. Czasem wręcz przeciwnie! My jednak stanęliśmy na wysokości zadania i świetnie się zrozumieliśmy. Dziękuję temu samemu policjantowi, bo to za jego sprawą się poznaliśmy. Ale ja znam go dłużej niż Grzegorz, ha! Dziękuję mojej rodzinie, która widziała, jak po ośmiu godzinach dyżuru w gazecie siadam do książki na kolejne pięć. Zawsze mogłam liczyć na ich pomoc i przychylność. Dziękuję też Czarkowi, pewnemu biegaczowi, który już nie pozwoliłby mi nazwać się tym słowem na „P”. Tobie zawdzięczam jedną ze scen. Wiesz, którą. I jeszcze dziękuję Matce Naturze, za to, że obdarzyła mnie siłą.

*Nadia*

## DETEKTYW

Niedawno spadł deszcz. Chmury wciąż tłoczyły się na niebie, lecz coraz leniwiej i coraz bledsze. Słońce kładło miękkie światło na lekką mgiełkę unoszącą się nad ulicą. Nieme drzewa mieniły się kolorami złotych glorii, prześwitującymi przez rdzawe liście. Szum samochodów rozjeżdżających kałuże mieszał się z kołatkami dochodzącymi z głośników zamontowanych przy światłach dla pieszych. Wrocław robił popołudniowy wydech. Odpoczywał. Zastygał.

Stróż tylko czekał na okazję. Rozglądał się czujnie, to w lewo, to w prawo. Uwielbiał te momenty, gdy ktoś próbował dostać się do opery bocznym wejściem.

„Ciemniaki” – myślał. „Mają wyraźnie napisane, gdzie iść, hołota”.

Gdy tylko kogoś lekko zносиło w stronę stróża, ten napinał się jak struna z orkiestrowych skrzypiec, gotów kłócić się z dziką radością, zanim poinformował, że wejście do opery jest od strony ulicy Świdnickiej, nie od Modrzejewskiej. Ku jego zmartwieniu, wieśniaków, którzy tu zaglądali, było coraz mniej. Ludzie już wiedzieli, od której strony mają wchodzić, jak mają się ubrać; ba, czego będą słuchać i nawet kiedy bić brawo! No i najgorsze – gdzie powinni zaparkować. Rozległy

parking pod Narodowym Forum Muzyki mieścił tyle aut, że od dawna już stróż nie kłócił się z kretynami, którzy bezczelnie próbowali zastawić samochody pod operą. A tak to lubił... Zazwyczaj tłumaczyli, że idą gdzieś tylko na chwilę, coś załatwić, zaraz wrócą. Wyciągał wtedy telefon i ostentacyjnie wybierał numer straży miejskiej, z którą miał dobre układy; w końcu pracował w miejskiej instytucji. Wieśniaki podkulały ogony pod siebie, wsiadały do swoich drogich fur, wyłączały awaryjne i znikwały w tumanach kurzu unoszącego się spod kół. Jeden z takich standardowych „na chwilę”, którzy zastawiali samochody członków obsady i obsługi przedstawień, właśnie wjechał na ulicę Heleny Modrzejewskiej. Czarne BMW X6 lśniło w zachodzącym słońcu i kłuło w oczy stróża. Z wewnątrz dobywała się muzyka. Stróż poznawał ją, ale nie umiał jej nazwać. Marzył, by ten „buc” podjechał na parking opery. Będzie się z nim żarł za wszystkie czasy posuchy! Ale BMW wdzięcznie pokonało łuk i podjechało pod hotel naprzeciwko. Zbity z tropu stróż spojrzał na zegarek. Przedstawienie właśnie się zaczęło. Najwyraźniej nici z kłótni. Rozpiął guzik lekkiej kurtki, chroniącej go przed pierwszym chłodem wrześniowych wieczorów, i schował się do gmachu opery.

Iwo stał na włączonym silniku przed oknami hotelu Monopol. Rozmawiał przez zestaw głośnomówiący i nie chciał, by ten znienacka rozłączył konwersację. Mimo to nie skupiał się szczególnie na tej bezsensownej wymianie zdań. Był nią zmęczony. Chciał, by dobiegła końca. Światła samochodu oświetlały wnętrze

restauracji Monopol. Widział krzątającą się po nim obsługę i jedyne, o czym marzył, to żeby zamówić swoją ulubioną Glenmorangie. Jedną szklaneczkę, może dwie. Wszyscy go tu znali, mógł liczyć na drobne zniżki. Zresztą i tak zostawiał napiwki, ale wciąż było to miłe. Głos w telefonie wydawał się odległy, a na każde pytanie, zaczepkę, oczekiwanie reakcji, Iwo odpowiadał krótkim „no”, „tak”, „pewnie”. Rozsiadł się jeszcze bardziej w wygodnym, skórzanym fotelu. Oby tylko nie zasnął podczas tej nużącej rozmowy, szczególnie przy włączonym silniku. W końcu rozmówcą był jego prawnik. Iwo powinien go uważnie słuchać, notować każdy szczegół. Tymczasem chciał już tylko, żeby ten przestał pieprzyć... Zapatrzył się w szybę, gdy niespodziewanie przed jego samochodem przeszła, niczym burzowy podmuch, zgrabna blondynka. Zwrócił na nią uwagę, bo miała szczupłe, splecione na piersiach niczym boginka z dziewiętnastowiecznych posążków ręce, a jasne włosy rozwiewało dynamiczne dla odmiany tempo jej chodu. Gdy przebiegła przed nim, wiatr rozchylił połę jej krótkiego płaszcza, odsłaniając białe jak śnieg uda. Iwo widział, jak ta kobieta wchodzi do hotelu Monopol, do którego przecież i on zmierzał, a potem siada w restauracji. Była wyraźnie poruszona. Coś jej dokuczało. Drżącą ręką, którą widział tak wyraźnie mimo dzielącej ich odległości, wyjęła z torebki telefon. Z kimś przez chwilę rozmawiała. Mógłby przysiąc, że powiedziała: „Jestem”. Ale może tylko mu się wydawało. Mogło mu się wydawać, bo z tej odległości...

– Więc, jak już mówiłem, Iwo, tego nie da się zrobić. – Z rytmu wybił go głos jego prawnika.

– Okej, rozumiem. Marcin, będę kończyć – stwierdził. – Coś mi wypadło.

– Ale wiesz, że to też jest ważne, prawda? Chodzi o twoich synów...

– Wiem – przerwał. – Wszystko będzie dobrze. W końcu mam ciebie! Zadzwoń później – oświadczył. Lekko seplenił. Taką miał wadę wymowy. Podobno dodawała mu uroku. Zanim jego prawnik zdążył zareagować, mężczyzna wyłączył silnik i telefon.

Wszedł do hotelowej restauracji. Spojrzał na stolik, przy którym siedziała blondynka, i nieodparcie zapragnął usiąść przy niej. Chciał ująć jej drżącą dłoń, pocieszyć, zaoferować uwagę. Ale zanim zdążył na dobre oswoić się z samym tym marzeniem, inna kobieta wyminęła go, lekko potrącając jego ramię, i dosiadła się do stolika blondynki. Westchnął bezgłośnie. Uśmiechnął się do znajomego kelnera i uniósł rękę na przywitanie. Powędrował do stolika w głębi sali.

– Co tam dzisiaj, Iwo? To co zwykle, czy szalejesz? – Kelner położył przed nim menu.

– Nie, bez szaleństw – powiedział i zasiadł za stołem.

– Polecam żeberka.

– Dzięki... – Spojrzał na blondynkę. Gwałtownie gestykulowała, miała podniesiony głos. Jej koleżanka zerknęła na niego. Opuścił więc wzrok. – Jeszcze zobaczymy – dodał.

Wyjął z kieszeni telefon. Powinien jakoś wytłumaczyć prawnikowi, dlaczego zakończył rozmowę

w taki sposób. Stłuczka... Tak, to dobre rozwiązanie. Ale nie widać śladów – a przecież nie uszkodzi samochodu, żeby się uwiarygodnić. Może telefon od syna? Też mało wiarygodne, z uwagi na problemy między nim a jego byłą. Albo telefon z pracy? Zadzwonili do niego jego koledzy z pracy i poprosili o... pomoc na budowie. Tak, tylko o jaką pomoc mogliby prosić? W końcu on sobie ręk nie brudził. Musiał się zastanowić. Nie miał typowej, normalnej pracy, szefów, konferencji, dyżurów czy nawet spotkań przy piwku. Mimo to telefon związany z pracą był zdecydowanie dobrym tropem. Musiał coś szybko wymyślić, bo kontakty z prawnikiem niejednokrotnie ratowały mu skórę. Wolałby, aby nadal były nieskazitelne, bo spodziewał się, że Marcin jeszcze nieraz będzie mu potrzebny. I, jakby na to nie patrzeć, to akurat ściśle wiązało się z jego życiowym powołaniem. Innymi słowy – z tym, co nazywał pracą.

„Przepraszam, że przerwałem, ale mam tu sytuację...” – zaczął wpisywać, gdy nagle coś rzuciło cień na jego stolik. A potem niespodziewanie zabrakło mu tchu. Zanim zorientował się, co się właśnie stało, zdążył tylko przetrzeć twarz ociekającą wodą, a przed sobą zobaczył pustą szklankę w kobiecej dłoni.

– Ile ci zapłacił, co? Ile?! – krzyczała na niego blondynka, którą odprowadził chwilę temu wzrokiem do hotelu.

– Nie rozumiem! O co pani chodzi?! – Wstał z mokrą krzesła. – Kurde, tylko nie spodnie... – jęknął. Wyglądał jakby miał problemy z utrzymaniem moczu! Znowu przetarł twarz, kompletnie oszołomiony.

Zrozumiał, że wylała na niego wodę. Chlusnęła mu prosto w twarz. Ale dlaczego?!

– Nie kłam, nie kłam – powiedziała ta druga, która jej towarzyszyła. – Przekaż mu, że Kaśka cię nakryła. Jesteś spalony!

– Ale ja nie wiem, o co chodzi! – Zdjął ze stolika serwetę i dopiero teraz porządnie otarł twarz z wody.

– Słaby z ciebie detektyw – dodała blondynka.

– Jaki detektyw? Ja tu przychodzę na whisky! – tłumaczył się wściekły Iwo.

– Whisky i żeberka – dorzucił poważnym głosem kelner, który najwyraźniej zobaczył całe zamieszanie i postanowił poratować stałego klienta dodatkową serwetą. – Wszystko w porządku? – zapytał go.

– I pan jego pyta, czy w porządku? – zaciętrzewiła się blondynka. – Mój były nasłał go na mnie, aby mnie śledził!

– To nieporozumienie – zapewnił kelner.

– Co za bzdura... – dodał Iwo. Przetarł krzesło i usiadł na nim, niezłe wkurzony. Zapadła cisza. Obie kobiety zerkały to na siebie, to na niego, już nie tak pewne swoich oskarżeń.

– Chcesz wezwać policję? – zapytał kelner.

– Nie, spoko... – naburmuszył się Iwo.

– Nie nasłał pana mój mąż? – zapytała już łagodniej Kaśka.

– Nie wiem, kim pani jest pani Kasiu, a tym bardziej kim jest pani mąż – dąsał się Iwo.

– I ty mu wierzysz? – ta druga nie odpuszczała.

– Uspokój się – warknęła na nią blondynka. – Niech pan przysięgnie – zwróciła się do niego w desperacji.

Obrzucił ją tylko chmurnym spojrzeniem. Chwilę później natomiast mimowolnie zaczął się śmiać.

– Co cię tak bawi? – zapytała poirytowana blondynka.

– Przepraszam, to wszystko jakieś popieprzone – chciał coś dodać, ale rozbawienie wzięło górę nad wszystkim, co dotąd czuł – złością czy zażenowaniem z powodu „oszczanych” portek. O dziwo, śmiał się tak szczerze, że nie minęło kilka sekund, kiedy Kasia dołączyła do niego.

– Na serio? – zapytała jej koleżanka, nie wiedząc nawet, do kogo owo pytanie kieruje.

– Tak – odparła blondynka, wciąż się śmiejąc. Iwo, pozostając w komediowym nastroju, wstał i odsunął paniom krzesła. Pierwsza usiadła Kaśka, o nic nie pytając. Jej czujna koleżanka dosiadła się po chwili, nie odwracając wzroku od Iwo, jak od żmii, która odtańcowywała prelud do ataku. Chwilę później towarzystwo przestało się śmiać.

– Mam rozumieć, że policja jest niepotrzebna? – upewnił się kelner.

– Zupełnie niepotrzebna – potwierdził Iwo.

– Przepraszam... – zaczęła raz jeszcze zakłopotana blondynka. – Byłam pewna, że jest pan detektywem – starała się jakoś wytłumaczyć.

– Bez napinki, ale... – zaczął Iwo. – Co to za akcja z tym twoim byłym? – zapytał. Obu paniom zrzedły miny. Milczały na tyle długo, że postanowił odpuścić, trochę na pokaz. – Nie chcę wiedzieć. – Podniósł rękę w górę, w poddańczym geście.



– To po prostu bardzo bogaty gość, który może wszystko – wyjaśniła zdawkowo koleżanka Kaśki.

– Nie wszystko – poprawiła ją sama zainteresowana.

– Rozwodzisz się? – zagadał nagle Iwo. Kaśka speszyła się, jakby złapał ją na czymś zdrożnym. Nie musiała potwierdzać – i tak już swoje wiedział.

– Powinna wynająć najlepszych adwokatów i się od niego odciąć. Tymczasem ciągle się poddaje, odpuszcza mu, a on pozwala sobie na coraz więcej – denerwowała się jej koleżanka. Sądząc po minie blondynki, nie mówiła tego po raz pierwszy.

– Znam to – wypalił nagle Iwo.

– To znaczy? – zainteresowała się jego blond towarzyszką.

– Mogę ci opowiedzieć, jeśli masz czas... – zasugerował. Zmrużyła oczy. W skali do dziesięciu ocenił ją na mocne osiem i pół. Ładna, zgrabna, i świetnie ubrana. W dodatku przypatrywała mu się, czym go mile połechtala. Zainteresował ją i to się liczyło.

– Mam czas – stwierdziła nieśmiało.

– Na początek powiem ci, że zgadzam się z twoją koleżanką – oznajmił i zaraz potem dodał: – Powinnaś wynająć najlepszych prawników, a potem... oskubać gościa do ostatniego grosika. I ja takich prawników znam. – Wyprostował się dumnie.

– Kim ty w ogóle jesteś? – Kaśka zdumiała się jego słowami.

– Jestem Iwo – odparł. – Iwo Rak.

RAK

## STALKER

„Kiedy się tak porobiło?” – zastanawiała się starsza pani. Komunę pamiętała jakby skończyła się wczoraj. Tłumy na ulicach, milicja, gaz łzawiący, armatki wodne i w końcu krwawe tłumienie protestów. We Wrocławiu, bo tu mieszkała od dziesiątek lat, zrodziła się w końcu Pomarańczowa Alternatywa. Amarantowe czapki krasnali były wyrazem buntu i zwiastunem nadchodzącej wolności, o której wielu myślało, że już jej nie doczeka. Coraz chętniej i śmieiej demonstrujący potrzebę zmian wrocławianie nie bali się drwić z władzy, patrząc jej prosto w oczy. Aż w końcu, idąc za lokalnymi bohaterami, po raz pierwszy od czterech dekad, dotarli do urn i zwyciężyli. Wygrali tę wolność, zmianę, która na zawsze odmieniła Polskę, Wrocław i życie każdego mieszkańca tego miasta. Takich tłumów jak ten dzisiejszy dawno nie było na ulicach. Mimo listopadowego ziąbu, przewalały się przez ulicę Świdnicką, opłatały hotel Monopol, ocierały o Renomę, wlewały się w węższe ulice i plac Kościuszki, by znów po czasie scalać się w wielkiego, kolorowego węża. Starsza pani patrzyła z okna na tę ludzką masę. Nie mieszkała wysoko, a wzrok wciąż miała dobry, dlatego dobrze wiedziała, co protestujący wypisali na transparentach. Szczególnie, że

pochód otwierała grupa schrypniętych już od krzyków kobiet, które wyteżyły gardła, by skandować wypisane na pół transparentnej, czarnej plecionce, czerwonymi i fosforyzującymi literami hasło.

– Wypierdalać! Wypierdalać! – Hasło wzbijało się w powietrze, wypełniając kubaturę centrum Wrocławia setkami głosów.

– A kogo one tak chcą... wypierdolić? – zastanawiała się głośno starsza pani, wiedząc, że i tak nikt jej nie usłyszy.

Wnuczka coś jej tam wspominała: że rząd aborcji zakazał, że będą się rodzić martwe dzieci, że będą umierać matki, że policja bije kobiety, a mężczyźni mówią im co wolno, a czego nie wolno. Ale ona i tak już była stara i trochę na bakier z tymi „nowościami”. Pewnie te babki miały rację. Za jej czasów, w komunie też się skrobać nie było wolno. A potem same z tego były nieszczęścia. Dziewczyny pozwalały sobie wyciągać płody metalowymi wieszakami w ciemnych, brudnych piwnicach, a potem cierpiały lub nawet umierały w milczeniu, podczas gdy można to było zrobić w sposób cywilizowany i bez niepotrzebnego krzyku. Szczególnie, jeśli taki osesek miał się po urodzeniu znaleźć w domu dla sierot albo umrzeć w męczarniach z tytułu jakichś wad. Przecież to bez sensu!

Koło jej okna przeleciał jakiś brzęczek. Aż odsunęła się gwałtownie i odruchowo cofnęła głowę jak żółw. Maszynka mrugała na zielono i czerwono. Światelka poszybowały nad tłum i tam zawisły w powietrzu.

„Kiedyś te strajki wyglądały inaczej” – pomyślała sobie starsza pani. Tego hałasu przelatujących jej koło okien brzęczków i niepokojących wspomnień, jakie wywołał u niej ten wielki pochód, było na dziś za wiele. Zamknęła okno i zaciągnęła grube zasłony. Nie tylko ona jednak obserwowała maszerujące w tłumie kobiety. Dron, który przeleciał koło jej okna, zawisł nad tłumem, skupiając kamerę na skandujących hasła twarzach. „Policjancie, nie bij, jestem tu pokojowo” – głosił jeden z transparentów. „Moja macica to nie twoja kaplica” – ostrzegał inny. Niemal każdy ozdobiony był czerwoną błyskawicą – znakiem symbolizującym małą iskrę, przeradającą się w mocny, krwisty piorun, wyrażający gniew. W chmurze ludzi nie brakowało również mężczyzn z wielkimi, głośnymi bębnami, postaci w stylu gejsz w czerwonych strojach, flag Unii Europejskiej czy tęcz LGBTQ+. Wśród kobiet krążyli policjanci i, co smutne, także policjantki. Spisywali manifestujące, tym bardziej że w czasach pandemii nowego wirusa, popularnie nazywanego covidem, nie wolno im było tłumnie się gromadzić. Mimo to, bez względu na zakazy, wydane przez ministra zdrowia, przeciwko któremu przecież również odbywał się ów marsz, z maseczkami na twarzach szły w korowodzie, jasno dając rządzącym do zrozumienia, że nie tolerują narzucanych im zaostżeń prawa antyaborcyjnego.

Dron zawisł w powietrzu, a jego kamera skupiła uwagę szczególnie na jednej z twarzy. Co chwilę przybliżała i oddalała obraz, rejestrując to, co robiła w tłumie jedna konkretna osoba. Dron przesuwiał się

powoli nad kolorową serpentyną. Jego operator trzymał się na uboczu. Wolał mieć możliwość swobodnego przemieszczania się. Nie chciał być niesiony przez tłum. Nie musiał też być w centrum wydarzeń, żeby wszystko dobrze widzieć. Z góry miał nawet lepszy ogląd na sytuację, co było szczególnie ważne, gdyby ta zaczęła się nagle zaostrzać. W końcu przy tego typu okazjach aż prosiło się o zadymę. Ale nie chodziło mu tylko o to, by zostawić z tego marszu pamiątkę dla przyszłych pokoleń. To była wartość dodana. Tu liczyła się ona, kobieta z ujęć, idąca w środku, nie tak ochoczo skandująca, bardziej dystygowana, eleganka. Ale równie silna i zdeterminowana co pozostałe.

Dron stał na biurku. Muśnięty pomarańczowym światłem, które padało na niego z panelu w ścianie, wyglądał jak element makiety do efektów specjalnych z jakiejś nowej produkcji DC Comics. Klapka na kartę pamięci była otwarta. Obok zaś leżały bojowe rękawice, które operator zdjął zaraz po wejściu do pomieszczenia.

Na ekranie komputera widniało zdjęcie kobiety, nieświadomej istnienia zgromadzonego materiału, którego była przecież główną bohaterką. Filmy wczytywały się na monitorze, a operator od czasu do czasu zatrzymywał je, aby wykonać stop-klatkę. Wstrzymywał film i dobierał takie kadry, w których jej twarz była wyraźna, rozluźniona, naturalna. Takie, które najlepiej pozwalały ją zidentyfikować, gdyby miał ją kiedyś odnaleźć osobiście, w innym tłumie. Musiał mieć pewność, jak wygląda – z profilu, *en face*,

a nawet od tyłu. Zwracał uwagę na jej fryzurę, na to, co miała na sobie, i rzecz jasna na to, jak się zachowywała. Próbował domyślić się, jaka jest w życiu prywatnym, poza Strajkiem Kobiet – w domu, w firmie czy podczas randki. Nie znał jej. Ale wiedział, że w niedalekiej przyszłości to może się zmienić. Musiał wiedzieć, czego może się po niej spodziewać. Z jaką osobowością przyjdzie mu się zmierzyć. Tym bardziej, że pewnie będzie jej miał sporo do powiedzenia. A na to, co chciał jej powiedzieć, nie mogło być pozytywnej reakcji. Skala zaczynała się od smutku, a kończyła na straszaniu prawnikiem albo nawet groźbach. Liczył się z tym, że ktoś kiedyś naśle na niego nieciekawych typów, takich co umieli wytłumaczyć, dlaczego nie powinien więcej wtykać nosa w nie swoje sprawy. Powinien być gotów na każdą ewentualność.

– Filip? – Usłyszał stłumiony głos Justyny, dochodzący zza drzwi.

– Zaraz – mruknął po chwili.

Zawsze tak robił, kiedy był skupiony. Odpowiadał, ale jego własny głos grzął w wymiarze pomiędzy tym, co robił, a tym co do niego mówiono. Ten wymiar działał z opóźnieniem, bo często Filip odpowiadał dopiero po dłuższym momencie. Jego bliscy wiedzieli, że jest zajęty, jeśli przez kilkanaście sekund nie docierał do nich jego głos. Ktoś spoza jego kręgu mógłby się na niego za to obrazić. Ale nie Justyna. Ona wiedziała i nie miała mu tego za złe. Nawet nie dopytywała, co robi za zamkniętymi drzwiami biura. Przyzwyczaiła się, że zniknął w nim na długie godziny

i często wychodził dopiero wywabiony magicznym hasłem.

– Kolacja – rzuciła i, nie czekając na tę opóźnioną odpowiedź, odeszła od drzwi. Filip milczał, choć zanotował owo magiczne hasło. Zazwyczaj gotowali razem, ale gdy pochłonięty był „tymi” sprawami, zrzucał to na Justynę. W skupieniu wybierał kolejne stop-klatki i przerzucał je do folderu „wybrane”. Posiłek, nawet ten przygotowany przez Justynę, nie mógł go teraz rozproszyć. Miał misję. Musiał doprowadzić tę część do końca. W pewnym momencie zastygł, wpatrzony w ekran, jakby właśnie dokonał niezwykłego odkrycia. Kobieta na filmie, którą śledził dron, lekko uniosła głowę. To zapewne wynik przejściowej mżawki, która przeszła nad centrum Wrocławia w czasie, gdy protest osiągał kulminację. Spojrzała w ciemniejące niebo, a resztki słońca i pierwsze rozbłyśki ulicznych latarni oświetliły na pomarańczowo jej twarz. To był ten kadr, którego potrzebował. Każda krawędź jej oblicza była odpowiednio ostra. Zdjęcie można było bez problemu powiększyć, wyostriżyć, wysycić, a co za tym szło – wydrukować.

Tak też postanowił zrobić. Posłał je na urządzenie. Z cichym szumem drukarka nanosiła kolejne warstwy koloru na kartkę. Wkrótce wypluła zdjęcie, a on ujął je w dwa palce i wyprostował rękę. To był pierwszy raz, gdy spotkał się z nią „twarzą w twarz”, choć nie osobiście. Na pewno też nie był to ostatni. Przyjrzał się jej i od razu pomyślał, że się dogadają. Muszą się jakoś dogadać. Odsunął klawiaturę komputera i położył zdjęcie przed sobą, na blacie.

Przyglądał je dłonią. Skóra w tym przeciągłym zeknięciu z papierem wydała cichy syk. Z rogu biurka zgarnął notes z samoprzylepnymi, żółtymi kartkami. W szufladzie namacał marker. Pochwycił go w lewą dłoń i na kartce z wierzchu napisał: „Aneta”. Odkleił ją i równo przyłożył pod wydrukowanym na kartce wizerunkiem uczestniczki marszu. Na drugiej z kolei kartce napisał enigmatycznie: „Wartość: trzydzieści cztery miliony złotych”.

Wstał od biurka i delikatnie, jakby obchodził się z żywą osobą, zdjął wydrukowany portret z blatu. Przeszedł przed komputerem, minął stół z dronem i rękawicami, po czym zatrzymał się po drugiej stronie pokoju. W skupieniu przyczepił portret do korkowej tablicy, zajmującej niemal całą powierzchnię przeciwległej do biurka ściany. Odsunął się o parę kroków i objął wzrokiem ten przedziwny kolaż, na który składały się liczne zdjęcia różnych osób, czerwone nitki, notatki i tajemnicze hasła, które rozumiał tylko jego twórca. Każda z fotografii opisana była imieniem, a przy niektórych, podobnie jak przy nowej „mieszkanie” ściany, wypisane zostały kwoty. Wszystkie opiewające na miliony. Każda z nich przy innym, zawsze kobiecym portrecie.

– Filip! – Usłyszał znów głos Justyny. Tym razem skutecznie wyrwał go z zamyślenia. Najwyraźniej kolacja wystygła, bo jego dziewczyna wyraźnie się zdenerwowała.

– Idę! – zapewnił przymilnym tonem, przedłużając w tym krótkim słowie każdą z dwóch samogłosek. Po raz ostatni rzucił okiem na nową twarz



na korkowej tablicy. Odwrócił się o dziewięćdziesiąt stopni i spojrzął w oczy swojemu bohaterowi z dzieciństwa. W rogu pokoju stał bowiem, stworzony na zamówienie, strój Batmana, do którego pasowały spoczywające obok drona rękawice.

– A jakie są twoje specjalne moce? – spytał pustą maskę, którą czasem zakładał na różne okazje. – Szmał, co? – odpowiedział sam sobie i uśmiechnął się pod nosem. Wyłączył światło. Po ciemku dotarł do drzwi i obejrzał się. Księżyc oświetlił maskę. Batman patrzył na niego z rogu pokoju. Miał wrażenie, że chciał mu powiedzieć coś ważnego.

– Zastanów się, Filip – mówił bezgłośnie. – Zastanów się, czy dobrze robisz.

– Wiem, co robię – odpowiedział i cicho zamknął za sobą drzwi.

RAK

## MUZYK

*Kilka miesięcy później...*

Nastroje marcowej pogody można było porównać do niestabilnego, gwałtownego związku, w którym czasem się ocieplało – i wtedy było miło – ale znacznie częściej wiało jednak chłodem. Cyja zapatrzył się w zalegający w kącie budynku śnieg. Przed nim i za nim stali mundurowi. Czuł się wciśnięty w kordon, zupełnie jak ten wdeptany w kąt śnieg, który nie chciał się stopić. Owszem, słońce już wyszło i zwiastowało całkiem ładny dzień. Była szósta rano, wszystko spowijała mgła, a więc to, co zmroziło się przez noc, właśnie topniało. Ale nie ta gruda w rogu kamienicy na wrocławskim Trójkącie. W to miejsce po prostu nigdy nie dochodziło światło. Każdego dnia, podczas codziennej, kosmicznej wędrówki Ziemi, przesuwało się z lewej na prawą, skrupulatnie omijając to miejsce. Ta gruda była jak małżeński sekret albo skryta bólączka, prowadząca niechybnie do depresji. Jak coś, co od lat zalegało na żołądku i nie chciało odpuścić. To przez nią Cyja znów poczuł ciężar swojej życiowej sytuacji.

– Wchodzimy? – Usłyszał zza pleców. Rozejrzał się. Czwooro policjantów na jednego, niegroźnego

złodzieja. O szóstej rano we wtorek. Odruchowo chciał pokręcić głową z dezaprobatą, ale zorientował się, że tym samym odpowiedziałby przecząco na pytanie kolegi. A przecież tu trzeba było działać, a nie wymrażać dupy na zimnie.

– Wchodzimy – odparł. Policjanci otworzyli drzwi i cicho wsunęli się do wnętrza ponemieckiej kamienicy. Weszli po drewnianych schodach na pierwsze piętro, robiąc niewiele hałasu jak na cztery dobrze zbudowane, w pełni umundurowane osoby. Cyja pokazał koleżance z grupy, że to ona ma zapukać. Stała więc w świetle wizjera w drzwiach mieszkania i głośno zastukała w drzwi.

– Policja! – ryknęła, budząc przy tym pewnie pół kamienicy. Czekali przez parę długich chwil, aż Cyja ponownie kiwnął na policjantkę. Ta znów z całej siły walnęła w pociągnięte olejną farbą drewno, aż zatrzęszczało w futrynie. Po kilkunastu sekundach usłyszeli człapanie.

– A już myślałem, że będę szykować taran – mruknął ironicznie Cyja. Samo to człapanie, nawet gdyby nie wiedzieli, kogo przyszli zawinąć, nie zwiastowało, że w drzwiach stanie King Shark<sup>1</sup>.

– Idę. – Usłyszeli głos dochodzący z głębi mieszkania.

– To idź szybciej – zażartował cicho Cyja. Wszyscy jego koledzy nieco się rozluźnili, śmiejąc się bezgłośnie. Zamki szczęknęły, a w drzwiach stanął wątył

---

<sup>1</sup> Podobnie jak Batman, postać uniwersum DC Comics. Muskularny człowiek rekin.

mężczyzna w typie osiedlowego menela, z niedogoloną twarzą, przekrwionymi oczami i rdzawymi plamami na policzkach.

– Panie Rapała, pójdzie pan z nami. – Cyja przestał krok w stronę lokatora. – Proszę coś na siebie zarzucić.

– Panie władzo – Rapała brzmiał jak Jan Himilbach w najlepszym wydaniu. – Ale ja nie jestem Rapała! – Cyja przymknął oczy.

„Kurwa, co ja tu robię” – pomyślał. Tym razem nie powstrzymał odruchu i potarł zmęczone czoło. Od dawna twierdził, że sen jest przereklamowany, szczególnie gdy uprawia się taki zawód jak policjant. Dziś jednak wolałby spędzić poranek pod pierzyną. Funkcjonariusz sięgnął do kieszeni munduru i wyjął dowód osobisty. Wyciągnął rękę w stronę mężczyzny i pokazał mu zdjęcie.

– Jak dla mnie, to jednak pan, panie Rapała. Proszę z nami.

– Człowieku – oburzył się Rapała. – Skąd masz mój dowód?! – Koleżanka Cyi ledwie powstrzymała śmiech.

– Pan pojedzie z nami, to się pan dowie. Byle szybko, nie mamy dla pana całego dnia – pospieszył go Cyja. Dwoje funkcjonariuszy weszło do mieszkania, by przypilnować Rapały.

– Najlepsze jest to, że gdyby się przeziębził, mógłby nas pozwać – odezwał się kolega, który został z Cyją na korytarzu.

– I zamiast do sądu poszedłby do szpitala, biedaczysko – skomentował Cyja, nie szczędząc przy tym sarkazmu.

W policji zjadł zęby na podobnych sytuacjach, a mimo to nie awansował; nie mógł liczyć na podwyżki czy nawet zmianę miejsca pracy. Tu chodziło o układy, a nie sukcesy na koncie. Zresztą... co on takiego na tym koncie miał? Kilka rozwiązanych spraw z narkotykami w tle, multum dotyczących drobnych kradzieży, jedną, gdzie w grę wchodził rozbój i cztery morderstwa – wszystkie popełnione w wyniku pijackich awantur. I rzecz jasna drobne włamania, takie jakich dokonywał niegdyś zapewne niezły złodziej, Rapała. Nie dostawał grubych spraw, bo te rozpracowywać chcieli gliniarze, którym udało się wdrapać na odpowiednie stołki i którym wciąż było mało. A on chciał się przysłużyć temu miastu, społeczeństwu, pójść do wojewódzkiej, pracować przy ambitnych, wielkich śledztwach. Łapać złoczyńców – to chciał robić Cyja.

Kiedyś już prawie tam był, ale gdy zbliżył się do rozwiązania tej jednej, życiowej zagadki, sprawę mu odebrano. Gdy już odwalił czarną robotę, ktoś postanowił przytulić się do jego sukcesu, który, jak wiadomo, zawsze ma wielu ojców. Z komisariatu odeszli już ci, którzy mogli mu wystawić dobre referencje. Przeszli na emeryturę lub awansowali tak wysoko, że do nich nie dosięgał. A on męczył się w tej skostniałej strukturze, pełniąc rolę niani dla młodych i niedoświadczonych przewencjuszy, i czekał na cud. Zatrzymanie, którego właśnie dokonywał, kompletnie

mijało się z jego ambicjami. Tym bardziej, że Rąpała był stałym gościem ich komisariatu. Koledzy Cyi wprowadzili delikwenta. Policjant wiedział, że nie musi go nawet skuwać. Ten menel nie uciekłby ślimakowi. Cud, że jeszcze pamiętał, jak się używa wytrychów.

– Gotowy? – zapytał Cyja.

– Eh. – Rąpała machnęła na niego ręką zrezygnowany. Był wyraźnie wściekły, że Cyja nie dał mu popać po zakrapianej imprezie. Zeszli na dół i wpakowali Rąpałę do radiowozu.

– Pały! – krzyknął ochryplym głosem jakiś żulik, który od samego rana koczował pod Żabką z butelką Piasta w dłoni. Jego kumpel od browara mógł mieć może czternaście lat. Wciąż nie przeszedł mutacji.

– Bagiety! – pisnął. Najmłodszy z grupy policjant, który debiutował dziś w roli zatrzymującego, drgnął niespokojnie.

– Zostaw – polecił Cyja i wykrzywił twarz na sam widok tej chołoty.

– Ale oni są nieletni. – Młody funkcjonariusz pokazał wymownie na kwiat polskiej młodzieży, która mimo wieku złopala piwsko na oczach policji, śmiejąc się mundurowym w twarz.

– No i co? Świata nie zbawisz, a tym bardziej Trójkąta... – parsknął Cyja. Wsiedli do radiowozu, sadzając Rąpałę między sobą. Mężczyzna oparł się o Cyję i spojrzał mu prosto w oczy, jakby widział go po raz pierwszy, choć spotkali się już wielokrotnie.

– Ja się ciebie... Serio pytam... Skąd masz mój dowód? – Chuchnął cuchnącym od nieprzetrawionego alkoholu oddechem. Cyję aż przeszedł dreszcz

obrzydzenia. Odsunął się, wydłużając dystans między nimi do maksimum, które był mu w stanie zapewnić samochód.

– Zgubiłeś – odparł chłodno.

– Ale gdzie? – dopytywał Rąpała.

– Jak to gdzie? Tam gdzie kradłeś. Na Krzykach, w moim rewirze.

– Ale ja nie kradłem! – zarzekał się zatrzymany.

– Rąpała... – Cyja zwiesił głowę i zachichotał bezsilnie. Jego koledzy zawtórowali mu mniej dyskretnie. Tym bardziej że ich pasażer naprawdę brzmiał jak Himilsbach. – Gdybyś nie zgubił tego dowodu już trzeci raz, to może bym ci uwierzył. Widzę, że musisz ci przypomnieć, że raz zapomniałeś nawet zabrać siebie z miejsca przestępstwa. Jak już nakradłeś, po tym kiedy się włamałeś na trzeźwo, znalazłeś whisky za dwa tysiące, wychlałeś ją w fotelu i walnąłeś w kimę. Wraz z twoim dowodem znalazł cię właściciel domu. To – pomachał mu dokumentem tożsamości przed nosem – gubiłeś już kilka razy.

– Naprawdę... – Rąpała ni to się oburzył, ni to zdziwił. W każdym razie na pewno coś sobie przypominał, choć z pewnością trzeźwy jeszcze nie był. Koledzy Cyi nie mogli już powstrzymać śmiechu, więc co chwilę chowali twarze za otwartymi dłońmi.

– No, naprawdę – potwierdził Cyja. – Mówię ci, chłopie, zmień zawód, bo do tego się po prostu nie nadajesz – dodał.

Komisariat zalewały promienie wczesnowiosennego słońca. Szare korytarze przypominały szkołę

albo klinikę. Komisariat był jak każdy inny urząd – nijaki. Cyja nie narzekał jednak na miejsce, w którym przyszło mu pracować. Lubiłby je, gdyby nie czuł, że doszedł tu do ściany. Często miał to uczucie, że brakuje mu tchu. Dusił się tu i męczył, choć swój zawód szczerze uwielbiał. Sam go sobie wybrał i chciał w nim zostać tak długo, jak to było możliwe. Jednak przy tej ścianie czuł się tak, jakby tracił pasję.

Wszedł do swojego gabinetu i zamknął za sobą drzwi. Siedział tu zazwyczaj z kolegą, ale ten też dziś kogoś zatrzymywał. Może nie poszło mu tak gładko jak jemu z Rapałą? Bo zazwyczaj nie było łatwo. Gdy jeszcze pracował w prewencji, niektóre interwencje potrafiły trwać kilka, nawet kilkanaście godzin. Pamiętał sytuację, gdy w siedmiu chłopa próbowali powalić na ziemię agresywnego ćpuna, który na stacji benzynowej wygrażał personelowi i klientom strzykawką uzbrojoną w brudną igłę. Obchodzili się z nim jak z jajkiem, świadomi faktu, że jest tak naćpany, iż w każdej chwili może mu wysiąść zasilanie. Jeśli zszedłby na zawał czy dostałby jakiegoś wstrząsu, każdy z nich miałby poważny problem. Przypomniawsobie słowa kolegi odnoszące się do Rapały: „jeśli by się przeziębził, mógłby nas pozwać”. I tak faktycznie było.

Wtedy, kiedy już udało się im z ćpunem i odwieźli go na komisariat, wrócił w drodze do domu na tę stację. Zmordowany i głodny jak, o ironio, pies, zamówił hot doga. Wtedy stojący za nim w kolejce klient wysyczał mu przez ramię: „już wiem, na co idą moje podatki”. Myślał wówczas, że go na tej stacji



rozniesie. Już wtedy wiedział, że chce być śledczym. Że chce zapobiegać takim sytuacjom, zamiast brać w nich udział. Tę pracę wyobrażał sobie jako pełną wyzwania, skomplikowanych dedukcji i porównywał ją do składania niezwykle trudnych puzzli. Ale co to za puzzle, gdy podejrzany gubi na miejscu przestępstwa dowód. Co tu składać? Gęba się zgadza, więc trzeba go zatrzymać.

Odchylił się, mocno przylegając do fotela. Za plecami miał całą kolekcję literatury z zakresu kryminalistyki i technik śledczych, jaką udało mu się zgromadzić. Miał to wszystko w małym palcu. Nieraz zastanawiał się, po co.

Promień słońca wpadł do pokoju przez rozchylone rolety. Cyja zacisnął powieki. Wyprostował się i chciał wstać, by zasłonić okno. Wtedy dopiero dostrzegł, że na jego biurku jest co najmniej o trzy teczki za dużo. Ktoś przyniósł mu akta sprawy, której z pewnością nie prowadził. Z ciekawości otworzył pierwszą z teczek, jak się okazało – najnowszą.

Jego oczom ukazały się zdjęcia i opisy z brutalnej sceny, jaka rozegrała się między jakąś kobietą a jej oprawcą. Ofiara została dotkliwie pobita, choć na zdjęciach, na pierwszy rzut oka, nie było widać ani jednego siniaka. Cyja wertował kolejne strony raportów, sprawozdań i zeznań świadków, opisujących okrucieństwo, z jakim została potraktowana ta kobieta. Zanotował od razu, że w aktach nie ma wyjaśnień pochodzących od ewentualnych podejrzanych. Nie było odcisków palców ani profilu DNA. Im uważniej jednak Cyja wczytywał się w raporty, tym bardziej

utwierdzał się w popularnej i zazwyczaj trafnej tezie, że ofiara musiała znać sprawcę. Ale z jakiegoś powodu nie podała policjantom jego nazwiska. Bała się – tylko tak mógł to uzasadnić. Tym bardziej, że obrażenia były potworne. Wylewy i krwiaki w okolicach krocza po długotrwałym zadawaniu kopniaków. Siniaki w okolicach podbrzusza. Połamany kręgosłup, śrubowany w czterech miejscach. A na dokładkę połamane paznokcie, wyszarpane włosy, podarte ubrania i niekończący się lęk o własne życie.

Cyja usłyszał pukanie do drzwi. Spłoszony pospiesznie zamknął teczkę, jakby robił coś złego. Niemal od razu poczuł się winny.

– Hej. – Funkcjonariusz z końca korytarza wychylił się zza drzwi. – Ktoś ci chyba podrzucił moją sprawę – stwierdził.

– Chyba tak – Cyja westchnął i bez entuzjazmu przesunął teczkę na krawędź biurka. Kolega podszedł do niego i złapał za akta.

– Milczy? – Cyja postukał w okładkę teczek, którą przeglądał.

– Niestety. Nie chce powiedzieć, kto to.

– Znaleźliście ten kolczyk? – wypalił nagle Cyja. Kolega zastygł zgięty w pół nad blatem jego biurka.

– Kolczyk? – powtórzył.

– Kolczyk z pępka. – Cyja otworzył teczkę na zdjęciu, które uwieczniało posiniaczony brzuch.

– Nie – odpowiedział zdumiony kolega.

– Może z kolczykiem znajdą się nawet jakieś odciski. – Kolega czujnie spojrzął na Cyję.

– Krzysiek? A może chciałbyś jeszcze to poczytać? – Cyja drgnął. Jasne, że by chciał. A potem poczeka sobie, aż ktoś znów zgarnie mu sprzed nosa laury za ewentualny sukces.

– Mam kupę swoich spraw – odparł wbrew sobie.

– Ja też. Chętnie ci ją oddam. Chcesz? – Cyja spojrział na kolegę spod byka.

– Czemu?

– Słuchaj, ciągnie się za mną wątek jednej grupy przestępczej. To może być dla mnie ważna sprawa. Rozumiesz?

– Aha – odparł Cyja, rozumiejąc jak mało kto.

– Jeśli się będę rozwodził nad damskimi bokserami, to przejdzie mi koło nosa spory sukces – kontynuował kolega. – A ty... Ty jesteś w tym dobry. – Cyja nadal zerkał na kolegę z niedowierzaniem.

– No dobra. – Udawał, że niechętnie się zgadza. – Ale to musi zatwierdzić komendantka.

– Pójdę do niej od razu – zadeklarował kolega i szybko podszedł do drzwi. – Zostaw sobie te teczki – dorzucił i wyszedł. Cyja objął wzrokiem akta. Wziął głęboki oddech. Wdech przez nos, wydech przez usta.

– Jesteś w tym dobry – powtórzył i otworzył dokumenty tam, gdzie przestał je czytać. Czekał go długi dzień. Niespodziewanie jednak lepszy, niż się zapowiadał.

## FUTRO

Nela znów kopnęła w jej siedzenie. Była dzisiaj nie do wytrzymania! Monika miała serdecznie dość zachowania córki. Choć nie powinna tego robić, nagle zahamowała gwałtownie. Wjechała na pierwsze wolne miejsce parkingowe, jakie znalazła, i odwróciła się do młodej. Nela nie przejęła się zachowaniem matki. Ręce splotła na brzuchu. Zmarszczyła nos, wydeła usta i ściągnęła brwi. Jakby miała zajęcia z mimiki twarzy, które do spółki prowadzili „Tom i Jerry”. Była gotowa się z nią kłócić.

– Dlaczego kopiesz w moje siedzenie? – zapytała Monika, starając się zdusić złość w zarodku.

– Ja nie chcę na karate! – wykrzyczała Nela.

– Karate jest ważne – odparła Monika tak spokojnie, jak się w tej sytuacji dało.

– Dla kogo ważne? – Dziewczynka nadal miała podniesiony głos.

Monika zaczęła odruchowo skubać palce przy paznokciach. Ostatnio miała sporo na głowie, przez co jej dłonie były w oplakany stanie. Nie potrzebowała kolejnej kłótni o karate, kreskówki, marchewkę na obiad czy tabletki, z którym Nela się nie rozstawiała.

– Dla ciebie – przekonywała, lecz jej córka dąsała się coraz bardziej.

– Ale ja nie lubię karate! – piszczała.

– A chcesz mieszkać z mamą? – zapytała Monika, tracąc kontrolę nad tym, co mówi. Od razu ugryzła się w język, ale było już za późno. Mała natychmiast zacisnęła palce na swoim sweterku, a na jej twarzyczce zagościł strach.

– Przepraszam – opamiętała się Monika. – Po prostu próbuję powiedzieć, że tata gniewa się na mamę. Karate jest potrzebne i tobie, i mnie. Jeśli tata zobaczy, że nie zaniedbujemy naszej codziennej rutyny, nie będziemy mieć problemów.

– Jakich problemów? – Zadając to pytanie, Nela zabrzmiała jak dorosła osoba. Ile rozumiała z tej sytuacji? Może więcej niż sądziła jej matka. Dzieci i ich szósty zmysł. Zawsze wyczuwały emocje rodziców. To dodatkowo zdenerwowało Monikę.

– Nie wiem... Jakichś – powiedziała, próbując panicznie wybrnąć z błota, w które wlaża. Nie powinna mieszać dziecka w problemy rodziców. – Karate jest dobre dla... dla zdrowia! Nie będziesz mieć problemów ze zdrowiem! – dodała szybko. Kiedy zobaczyła, że jej córka znów marszczy nos, nieco jej ulżyło.

O ironio! Telefon zawibrował głośno, a na ekranie pokazało się zdjęcie. Właściciel numeru dzwonił do niej chyba siedemnasty raz. Ale na przemian – to nie miała siły, to czasu odebrać. Albo po prostu ochoty, ale ciągle się czymś tłumaczyła, zamiast otwarcie to przyznać. Znów bezwiednie zaczęła skubać palce.

– Musimy jechać, bo się spóźnimy – zakomunikowała.

Nela ponownie ostentacyjnie skrzyżowała ręce na brzuchu. Uniosła nawet łokcie, żeby mama na pewno nie przeoczyła tego gestu. Monika natomiast zacisnęła zęby. Wyjechała z parkingu i ruszyła w kierunku szkoły.

Dziesięć minut później Nela wybiegła z szatni, wcale już nie taka zła. Spotkała koleżankę i szybko zapomniała o tym, jak bardzo nie lubi treningów i sztywnej karategi. Wpadły na parkiet sali gimnastycznej z głośnym śmiechem. Monika pomachała do niej, dając tym samym znać, że nie ma zamiaru jak inne nawiedzone matki oglądać zajęć z widowni. Wolą gdzieś się ulotnić i wrócić za dwie godziny. Miała dość tych fałszywie dyskretnych spojrzeń, które posyłały jej mamuśki koleżanek Neli. Wiedziały, jaką miała teraz sytuację w domu. Pewnie obgadywały ją ile wlezie i napawały się jej nieszczęściem. Nadziany mąż odszedł od niej i nie miał już zamiaru sponsorować jej zachcianek, bo zapewne tak to właśnie widziały. Nie chciała im dawać tej satysfakcji.

Nela nawet jej nie dostrzegła, więc Monika wycofała się i po angielsku wyszła ze szkoły. Wsiadła do samochodu. Jeszcze nie chciała odpalać silnika. Od wielu tygodni stres dosłownie ją zżerał. Spojrzała na swoje dłonie i odkryła, że oskubała i obgryzła środkowy palec do krwi. Akurat ten! Jakby go nadużywała, a teraz sobie na to zasłużyła! Telefon znów zadzwonił. Była tak zmęczona ilością nieodebranych połączeń, że dla świętego spokoju wcisnęła zieloną ikonkę.

– No? – warknęła.

– O, ooo – głos w słuchawce brzmiał przyjaźnie. – Ktoś tu jest w kiepskim humorze. Mam się rozłączyć? – Monika opamiętała się nieco i chrząknęła nerwowo.

– Nie, przepraszam...

– Ciężki dzień? – dopytywał.

– Jak każdy ostatnio – zauważyła.

– Rozwód to koszmarnie przeżycie – solidaryzował się. – Poprawić ci humor?

– Chyba się nie da.

– Zakład? – spytał zadziornie. Spojrzała na zegarek. Liczyła raczej na chwilę spokoju w samotności. Ale jeśli trening Neli w elegancki sposób wyznaczyłyby granice czasowe ich spotkania, mogłaby się zgodzić.

– Mam godzinę – oświadczyła sucho.

– Wystarczy! – Słysząc było, że jest bardzo zadowolony.

– To gdzie się widzimy?

– W restauracji z sushi na Zwycięskiej? – zaproponował.

– Sama nie wiem – burknęła, myśląc o cenach w menu restauracji. Wolała nie wydawać pieniędzy, nie wiedząc, ile zostanie jej po tym po wszystkim.

– Ja stawiam! – wykrzyknął entuzjastycznie. To zdecydowanie zmieniało postać rzeczy.

– No dobrze. Ale następnym razem się odwzajemnię – kokietowała.

– Wskakuję w furę i jadę – oznajmił uradowany.

Weszła do przyjemnego wnętrza w stylu japońskim i od razu poczuła się lepiej. Do takiego standardu życia była przyzwyczajona i bardzo jej tego

ostatnio brakowało. Zobaczyła go przy stoliku w głębi sali. Popijał espresso, a na stole leżały dwie karty dań. Kiedy ją zobaczył, wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

– Myślałem, że się rozmyślisz. Taka byłaś przybita – powiedział, wstając, by objąć ją na powitanie.

– Cześć, Iwo. – Pozwoliła mu się przytulić i pocałować w policzek.

– Mam świetne niusy. Siadaj. – Odsunął dla niej krzesło. Poczula się z tym tak dobrze, że od razu zrobiło się jej głupio za to przywitanie. Do tego stopnia, że zaczęła mu się tłumaczyć.

– Przepraszam cię raz jeszcze za ten telefon... Mam ostatnio trochę stresów.

– Przestań, dziewczyno. Nie musisz się tłumaczyć za tego... zjeba – przy ostatnim słowie ściszył głos, jakby nigdy nie używał podobnych inwektyw. Nawet ją tym ubawił. – Rozwód to nie byle co. Sam przechodziłem przez coś w tym stylu. Moja była urządziła mi piekło.

– Wiem, wspominałeś – westchnęła ciężko. Nie lubiła mówić o rozwodzie. Otaczał ją, a właściwie osaczał, zaciskał na niej pięści i dusił ją w nocy. Był wszędzie – w każdej wspólnej rzeczy, jaką dzieliła z mężem, w zdjęciach w ramkach, telefonie, w komputerze. Rozwód wyglądał ze wspólnych szaf, łazienki czy garażu... Tam odcisnął największe piętno. Iwo jakby czytał w jej myślach.

– Czym ty przyjechałaś? – Wyjrzał za okno restauracji.

– Seatem – bąknęła.



– Zabrał ci mercedesa... – To nawet nie było pytanie. Monika nie czuła, że musi odpowiadać, a jednak pewna myśl przeszła jej przez głowę.

– Technicznie ten SUV to był jego samochód.

– Technicznie wszystko w małżeństwie jest wspólne – powiedział poważnie Iwo.

– Nie do końca – westchnęła Monika i poprawiła się na krześle. Ciężko jej było o tym mówić. – Trzy lata temu, kiedy otwierał oddział swojej firmy w Stanach Zjednoczonych, podpisałam z nim rozdzielność – wykrztusiła i niemal zachłysnęła się powietrzem.

– Kurwa! – przeklął niemal bezgłośnie. Był naprawdę wzburzony. – Przecież on musiał to od dawna planować. Akurat wtedy, gdy zaczął gwałtownie się bogacić?

– Nie wiem – zastanowiła się. Iwo zasiał ziarno niepewności. – Może tak po prostu wyszło. On już wtedy mówił, że przestaliśmy się dogadywać...

– Nie wierzę w takie zbiegi okoliczności! – przerwał jej. – A to skurwiel... – wycedził gniewnie i spojrzął w okno. Nad czymś się zastanawiał. Jego oczy błysnęły w świetle zachodzącego słońca jakąś niezrozumiałą dla Moniki pasją. Znowu urósł w jej oczach. Ujął się za nią. Dobrze, że nie została w sali gimnastycznej pełnej sztuczności i fałszu, a zamiast tego przyszła tutaj. Od dawna nie czuła się obiektem zainteresowania. I chociaż Iwo z nią nie flirtował, fakt, że jej współczuł, działał na nią trochę jak magnes. Teraz bardziej niż kiedykolwiek chciała tu być i słuchać, co ma jej do powiedzenia.

– Napijesz się? – Znów na nią spojrzął i kiwnął na kelnerkę.

– Coli. – Zrobiła kwaśną minę.

– Żartujesz sobie? – Zrobił wielkie oczy. Żeby nie robić jej wstydu, szybko odprawił kelnerkę podobnym gestem.

– Wiesz, że teraz nie mogę – ona także ściszyła głos. Zawstydziło ją to. W normalnych okolicznościach nic nie powstrzymałoby jej przed małą lampką wina do posiłku.

– Przestań. Skąd miałyby się dowiedzieć? – nalegał.

– Sam kiedyś powiedziałeś, że on wie wszystko – uniosła się nieco, ale nie w gniewie. Po prostu znów ogarnął ją strach.

– Monika... – Iwo zmienił ton na protekcyjny. W normalnych okolicznościach by ją tym wkurzył, ale wiedziała, że nie chciał jej tym urazić. – Jesteś tu ze mną – powiedział z naciskiem. – A jakiś świr ganiający po mieście w stroju Batmana nie może przejąć nad tobą władzy! To nie film, to prawdziwe życie.

– Ale w tym prawdziwym życiu zdążył postraszyć mnie opieką społeczną, bo niby nie kontroluję się, gdy piję – zauważyła. Wypuściła głośno powietrze. Samo mówienie o tym ją bolało. – Będzie walczył w sądzie, bo wie, że jako ojciec ma mniejsze szanse na taką ilość widzeń z Nelą, jakiej by sobie życzył. Zrobi wszystko żeby zdyskredytować mnie jako matkę. Nie mogę sobie pozwolić na tę lampkę, wybacz.

– Spoko, nie złość się. Nie namawiam. – Uniósł ręce, zasłaniając się przed niewidzialnymi razami. – Ale wiesz, że nawet Batman miał swojego

Jokera – ripostował. Spojrzała na niego spod rzęs. Nawet nie wiedziała, dlaczego to zrobiła. Nie chciała go podrywać, ale był taki serdeczny, otwarty. Mówił to, co w tym momencie potrzebowała usłyszeć i najwyraźniej niczego nie oczekiwał w zamian. Nie lubił Filipa i to chyba był jego motyw. Ona w tym momencie też go nie lubiła, a czasem nawet nienawidziła.

– Niby kto jest tym Jokerem? – zapytała jakby bardziej intymnie, przechylając się w jego stronę, trochę bardziej odsłaniając dekolt. Zrobiła to odruchowo, choć wiedziała, że nie pozostanie na to obojętny. Mało tego, wiedziała, co chce powiedzieć. Ale liczyła, że zyska tym jego przychyłność. Kupowała sobie jego czas i towarzystwo.

– Ja – powiedział buńczucznie i uniósł zadziornie brew. – Poważnie – zapewnił. Był tak pewny siebie, że musiał trzymać asa w rękawie.

Nie wierzyła, że ktokolwiek, kto choć raz zetknął się z jej byłym mężem, zechciałby się mu narazić. Szczególnie, że choć znali się od wielu lat, dopiero niedawno weszli w bliższe, bardziej przyjacielskie relacje. Iwo pojawił się w jej życiu niemal w tym samym momencie, w którym Filip zażądał rozwodu. A teraz rozpalił w niej iskrę nadziei, choćby na bezinteresowną pomoc. Iwo nieraz opowiadał jej o swoich kontaktach. W tym momencie niektóre z nich bardzo by się jej przydały.

– Jaki masz plan? – zainteresowała się.

– Zaczniemy od twoich finansów – powiedział i upił łyk espresso. To także chciała usłyszeć. Poza

samą rozprawą dotyczącą opieki nad Nelą, sen z powiek spędzały jej właśnie topniejące pieniądze.

– Co masz na myśli?

– Zabezpieczymy cię przed utratą domu.

– Utratą domu? – Krew odpłynęła jej z twarzy. Ogarnęło ją zimno wymieszane z gorącem.

– Samochód już ci zabrał. To pewnie nie koniec – dedukował. – Oskubie cię, a w sądzie powie, że nie masz warunków do wychowywania córki. Moja była grała podobnie. – Cały czas bała się, że kiedyś do tego dojdzie i Filip zechce odebrać jej dom, w którym mieszkała z Nelą. A teraz te koszmarnie wizje mogły się ziścić! Czy Iwo naprawdę mógł jej pomóc? Czy dostrzegł w jej sytuacji coś, co sam kiedyś przeżył i postanowił sięgnąć po sprawiedliwość dla niej?

– Iwo. Musisz coś wiedzieć. – Uznała, że powinna go ostrzec, bo jej towarzysz nie znał jej męża tak dobrze, jak ona. – Filip jest jak wrzód na dupie. Naprawdę niełatwo się go pozbyć. Jeśli zechce, to cię zniszczy. – Do ich stolika podeszła kelnerka.

– Czy mogę już przyjąć zamówienie?

– Colę. I najlepszą whisky jaką macie. Tylko osobno, żeby nie było, że piję whisky z colą – zastrzegł. Kelnerka lekko się skłoniła i odeszła od stołu.

– Gdzie skończyliśmy? – zapytał, odprowadzając dziewczynę wzrokiem aż po sam kontuar.

– Gdy mieszkaliśmy razem, wiele razy byłam świadkiem tego, co Filip potrafi zrobić, kiedy ktoś mu podpadnie, szczególnie gdy idzie o pieniądze – wyrzuciła jednym tchem. – Wynajmie ludzi, dowie się

o tobie wszystkiego i, jeśli trzeba będzie, wykorzysta to w sądzie. Nie znam nikogo tak zawziętego jak on.

– Tylko że teraz trafił na mnie. Wiesz, co to oznacza?

– Niby co?

– Że zagramy po mojemu. – Iwo uśmiechnął się szeroko.

Wieczór zapadł tak szybko, że po raz pierwszy od dawna odniosła wrażenie, iż uciekł jej dzień. Te ostatnio niemiłosiernie się ciągnęły. Miła godzina z Iwo szybko zleciała. A tak nie chciała iść na to spotkanie. Leżała już w łóżku, nie mogąc przestać myśleć o ich krzepiącej rozmowie. Choć w ostatnim czasie zadzwonił do niej kilkadziesiąt razy, po ich rozmowie jeszcze się nie odezwał. Teraz dopiero poczuła, jak bardzo chciałaby, by znów o nią zabiegał. Sięgnęła po kieliszek wina stojący na nocnym stoliku. Opróżniła go dwoma łykami i od razu dołała sobie kolejną porcję. Nagle telefon zawibrował, a po jej brzuchu rozlało się ciepło. Spojrzała na ekran. To była wiadomość od niego. Jej palce zadrżały, gdy ją otworzyła. Znowu ją zaskoczył, dołączając do tekstu piosenkę.

„Gramy po mojemu?” – napisał. „Przerobimy go na futuro. #futuroznietoperza”. Zaśmiała się i włączyła utwór zespołu Steve Miller Band pod tytułem „The Joker”. *Nie martw się, kochanie, bo jestem tu, na miejscu, w domu*<sup>2</sup> – śpiewał ciepło wokalista. Monika znów przechyliła kieliszek. Odechciało się jej spać.

---

<sup>2</sup> Steve Miller Band – „The Joker”, tłumaczenie: autorzy.

– Cześć. – Iwo przycisnął ramieniem telefon do ucha.

– Jest grubo po jedenastej – jego prawnik pouczył go zaspanym głosem. Chyba się starzał...

– Wiem, przepraszam. Ale mam tu sytuację...

– Tak jak ostatnio, kiedy mnie rozłączyłeś?

– Znasz mnie. Ciągle mam „sytuację”.

– A ta, z którą dzwonicz, to... – Marcin niecierpliwił się.

– Pewien typ, któremu trzeba wytłumaczyć, że życie to nie film – odparł enigmatycznie.

– Co ty kombinujesz? – Marcin nie mógł złapać rytmu.

Na ekranie komputera w komunikatorze pokażała się ikonka. Monika mu odpisała, ale zignorował chwilowo ten fakt. Zamiast tego wpisał w wyszukiwarkę: Filip Gregorczyk. Strony zapełniły się wizerunkami Filipa. Ze zdjęć patrzył na niego gość o surowym wyrazie twarzy i przenikliwym spojrzeniu. Pierwsze wyniki dotyczyły jego firmy. Były tu też wywiady i artykuły. Szukał konkretów. Ale zamiast informacji o jego majątku, co chwilę trafiał na zdjęcia Gregorczyka w koszmarnie drogim stroju Batmana.

– Pieprzony Bruce Wayne – burknął Iwo.

– Co? – Marcin zaczął się wkurzać. – Gadasz ze mną czy ze sobą?

– Gość, o którym mówię, jest chyba niepoczytalny.

– Co najwyżej nieźrównoważony – poprawił go Marcin. – Poczytalność to termin prawny.

– Niepoczytalny, nieźrównoważony albo po prostu jebnięty, mi to wisi – kpił Iwo. – Trzeba go

wyleczyć – dodał, nie mając bynajmniej na myśli pomocy lekarskiej. Na ekranie pokazało się kolejne powiadomienie. Iwo nerwowo podwinął rękawy koszuli i zdjął z nadgarstka drogiego Rolexa. Wiedział, że jeśli teraz otworzy wiadomość, co zresztą bardzo chciał zrobić, straci wątek rozmowy z Marcinem. Nie mógł się rozpraszać. – Czym ci tak podpadł? – zainteresował się Marcin. Iwo znów popatrzył na ikonkę komunikatora.

– Zalażł komuś za skórę. A ja tego kogoś... lubię – wyjaśnił zdawkowo.

– Tylko lubisz? – dopytywał Marcin.

– Czy prawnik musi wiedzieć takie rzeczy?

– Pytam jako przyjaciel.

– Okej, bardzo lubię – sprostował.

– W takim razie zadzwoń do niej i jej to powiedz.

A mi daj pospać, bo na siódmą muszę być w sądzie – ponaglił go Marcin.

– Pomożesz mi? – upewnił się Iwo.

– Jeśli odpowiednio umotywujesz mi tę potrzebę. I dostarczysz mocny materiał – zaasekurował się prawnik.

– Dzięki. – Iwo rozłączył się. Był już na piątej stronie, ale o transakcjach Gregorczyka wiedział tyle co nic. Ile był wart? Ilu miał klientów? Jakie były jego czułe punkty... Już na ekranie telefonu kliknął w ikonkę komunikatora. Skoro nie mógł dowiedzieć się tą drogą, może powinien spróbować szukać informacji u źródła.

„Śpisz?” – Wiadomość od Moniki przysłała niemal dziesięć minut temu.

„Nie” – odpisał pośpiesznie. „*Jak się czujesz?*” – wystukał i zastanowił się chwilę. „*Jak się czujesz, kochanie?*” – dopisał i kliknął w strzałkę. Wiadomość jeszcze nie zdążyła dotrzeć do adresatki, kiedy szybko wstukał kolejną. – „*Miało być kochana! Przepraszam, durny telefon...*” – Patrzył w napięciu na ekran.

„*Widocznie telefon wie lepiej, co czujesz*” – Przeczytał i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Monika od kilkunastu sekund wpatrywała się w ekran. Może nie powinna mu tego pisać. Widziała te trzy magiczne kropczki, które to pojawiały się, to znikwały. Sugerowały, że Iwo pisze, ale uważnie dobiera słowa. Spodziewała się grzecznych wyjaśnień, iż nie miał na myśli tego, co napisał i że powinni nieco zwolnić. Spojrzała na pustą butelkę po winie.

– Za dużo wypiął – zgaśniła się na głos. Owszem, musiała odreagować, ale widocznie wino podziałało aż za dobrze. Nieraz zdarzało się jej w takim stanie wymieniać z ludźmi wiadomości, które rano kasała zażenowana. Szczególnie jeśli wywołały sensacyjne reakcje. Wówczas zawsze obiecywała sobie, że nigdy więcej tego nie zrobi, ale dotrzymywała tego postanowienia wyłącznie do kolejnego zakrapianego wieczoru. Telefon zawibrował w jej ręce. Przez chwilę patrzyła na ekran w milczeniu, a potem po prostu wołała mieć to za sobą. Otworzyła wiadomość.

„*Nie chciałem ci tego teraz mówić, bo się rozwdzisz i pomyślałem, że to może źle wyglądać, ale znaczysz dla mnie więcej, niż myślisz.*” – Zszokowana przycisnęła telefon do piersi. Potem spojrzała na wiadomość raz jeszcze. Nie przywidziało się jej.



Naprawdę to napisał. Nie skasował. Nie sprostował. Po prostu tak myślał.

*„Dziękuję. Dzisiejsze popołudnie było świetne.”*

*„Też tak sądzę.”* – odpowiedział. Zaraz potem przyszła kolejna wiadomość. *„Chcę ci pomóc, ale ty też musisz tego chcieć.”*

*„Chcę”* – odparła. Iwo nadal przerzucał strony, na których wzmianki o Gregorczyku były coraz bardziej zdawkowe i urywane. Wrócił więc do strony pierwszej i raz jeszcze uważnie przestudiował nagłówki i podpowiedzi zawartych w artykułach treści. Tak przygotowany wykreślił numer Moniki.

– Palce cię rozboleły? – zapytała przymilnie. Była podchmielona.

– Chciałem cię usłyszeć – zaśmiał się pochlebnie dla jej żartu. – Masz jeszcze siłę na trudną rozmowę?

– Mam – odparła z determinacją.

– Czy twój były ma jakichś wrogów? Sekrety, którymi nie powinien się dzielić z prasą albo inny brud za paznokciami?

– Może i tak, ale nie chcę nieczystej gry podczas rozwodu.

– A co mi dziś powiedziałaś o dyskredytowaniu cię w sądzie? – przypomniał jej. Zamilkła. Trwało to na tyle długo, że postanowił się znów odezwać.

– Kochanie – powtórzył dobitnie. – Rozwód nie jest czystą rozgrywką. Każdy próbuje ugrać dla siebie jak najwięcej.

– Jeśli Filip ma coś na sumieniu, to ja o tym nie wiem. Ale mogę się dowiedzieć. – Dała się przekonać.

– Od firm, z którymi współpracował? – dopytywał.

– Nie, od nich nie. Tam są same grube ryby. Nic mi nie powiedzą, chyba że przez prawnika. Calmus, Limbex albo ten gigant odzieżowy... – wymieniała.

– Który?

– CU7. – W końcu przypomniała sobie nazwę. Najwyraźniej po alkoholu gubiła myśli. – Z nimi rozmawia się tylko poprzez oficjalne pisma. – Iwo zanotował tę ostatnią nazwę. Firmę CU7 kojarzył chyba każdy w tym kraju.

– Racja – przytaknął. – Od nich niewiele się dowiemy. – A ci ze Stanów Zjednoczonych? Wspomniałaś dziś o tym.

– To jego pracownicy. Staną za nim murem. Zresztą on też zawsze ich bronił, nawet przede mną, gdy kłóciliśmy się o te jego wyjazdy... – wspomniała.

– Często cię zostawiał? – Starał się, by usłyszała w jego głosie troskę.

– Byłam sama jak palec. Przy nim czułam się jak samotna matka – mówiła. – Po co o nim gadamy? – zreflektowała się w końcu.

– Próbuję ustalić, ile... – zawiesił głos. Tu dobór słów miał ogromne znaczenie. Gdyby powiedział: ile możemy z niego wycisnąć, mogłaby się zrazić. – Ile jest ci winien za te niedogodności – dokończył dyplomatycznie.

– Nie wiem. Będę się starać o kilka milionów – rzuciła od niechcenia. Iwo aż się zapowietrzył.

– Powiedziałaś: milionów? – upewnił się.

– A ty myślisz, że CU7 podpisuje kontrakty za grosze? Poza tym, kilka miesięcy temu renegotjowali umowę. Nie dziwiłabym się, gdyby chodziło o parę,

może paręnaście baniek. – Język zaczął się jej konkretnie plątać. Czuła, że musi zakończyć tę rozmowę.

– Wiesz co? – Uśmiechnął się pod nosem. Ten uśmiech pewnie było „słyszać”.

– Co? – Ona też z pewnością się uśmiechała.

– Te miliony będą twoje. – Monika nie mogła zasnąć. Rozmowa z Iwo tylko ją rozbudziła. Nie przypuszczała, że jeszcze podczas rozvodu znajdzie oparcie w mężczyźnie, który okaże się jej bohaterem.

– Oby się tylko nie rozmyślił – gorączkowała się.

Bardzo jej zależało; już nie tylko na tym, co jej obiecał, ale trochę też na nim samym. Otworzyła komunikator, ale od kiedy skończyli rozmawiać, nic jej nie napisał. A jej wciąż było mało. Za mało. Jej dłoń powędrowała w dół, od piersi do uda, po jej rozgrzanym pod ciepłą kołdrą, otulonym w jedwab ciele. Wciąż miała to w sobie – figurę, ładne włosy, nienaganną cerę. Czego się bała? On sam do niej przyszedł. O nic nie musiała go prosić! Dłoń wróciła i znów powędrowała w dół. Odchyliła kołdrę i zsunęła ramiączko koszulki. Potem zdjęła ją całkiem. Chwyliła za telefon i w świetle nocnej lampki spojrzała na siebie w kamerze selfie. Bez dłuższego namysłu zrobiła zdjęcie topless. Zawahała się tylko nad ikonką „wyślij”. W końcu jednak stuknęła w ekran telefonu i zdjęcie powędrowało do Iwo. Minęło może trzydzieści sekund, gdy odpisał: „*nie przestawaj*”. Więc zrobiła kolejne. I kolejne.



## BONUS

<b>Oficjalna strona</b>	<a href="http://www.rak.to">www.rak.to</a>
<b>Instagram</b>	<a href="https://www.instagram.com/ktotorak">instagram.com/ktotorak</a>
<b>Facebook</b>	<a href="https://www.facebook.com/ktotorak">facebook.com/ktotorak</a>
<b>Youtube</b>	<a href="https://www.youtube.com/@Ktotorak">www.youtube.com/@Ktotorak</a>
<b>Wydawnictwo</b>	<a href="http://www.linguamortis.eu">www.linguamortis.eu</a>

### **Playlista muzyczna:**

1. Sting – Every Breath You Take
2. Steve Miller Band – The Joker
3. Frankie Valli – Can't Take My Eyes Off of You
4. Imagine Dragons – Believer
5. Queen – The Miracle
6. Cyndi Lauper – Time After Time
7. Lady Pank – Zawsze tam gdzie ty
8. Phil Collins – Another Day In Paradise
9. Depeche Mode – Somebody
10. The Rasmus – In The Shadows
11. Queen – Crazy Little Thing Called Love

**ODKRYJ PRAWDĘ!**

